

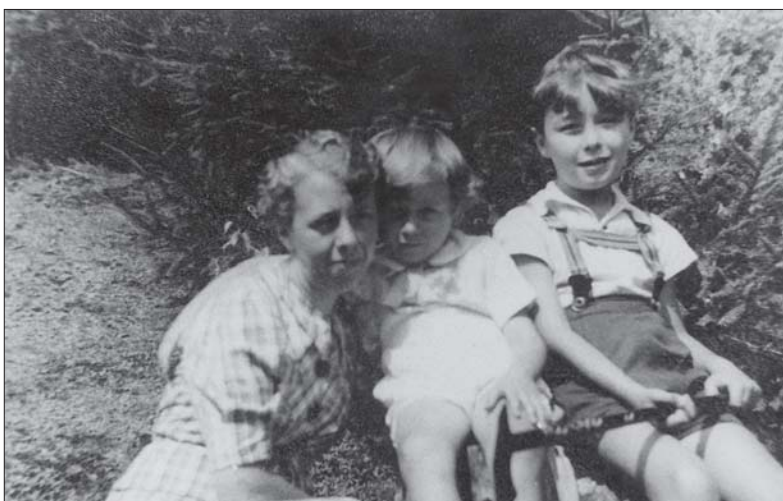
– Fizyk, taternik, grotołaz, żeglarz. Czego Pan w życiu szukał?  
– Czegoś nowego. Ale aby szukać, trzeba wcześniej postawić właściwe pytania, co ma decydujące znaczenie. Proszę

zauważyć, że ludzie często stawiają niewłaściwe pytania  
– mówi prof. Kazimierz Grotowski.

## ŻYCIE NA DWUNASTU FOTOGRAFIACH

... **G**rała orkiestra. Skrzyły się drobinki lodu. Szesnastolatek Marian Grotowski okrążył na łyżwach śliczną szatynkę. W końcu odważył się do niej podjechać i zapytał:  
– Czy mogę poczęstować pomarańczą?

Tak się poznali zimą 1914 roku. Na ślizgawce, obok budynku Sokoła przy ul. Krakowskiej w Rzeszowie. Wkrótce Marian, uczeń gimnazjum, wstąpił do Legionów Polskich, z 2. Pułkiem Piechoty znalazł się na froncie rosyjskim w Karpatach. W marcu 1915 roku został z wojska zwolniony z powodu złego stanu zdrowia. Wrócił do Rzeszowa, zdał maturę. I znowu spotykał się z poznaną na ślizgawce Emilią Kozłowską. Ale



*Matka Emilia zwana Miłą z Jurkiem i Kaziem. Lipiec 1939 r., Rabka Zaryte*

wkrótce wyjechał do Wiednia, a po tym wybuchła wojna polsko-bolszewicka, którą zakończył w stopniu porucznika.

Tymczasem ona ukończyła seminarium nauczycielskie. Po śmierci ojca wyjechała z chorą matką uczyć w szkole na Podlasiu. Przez parę lat nie widywali się wcale. Gdy umarła matka, Emilia wróciła do Rzeszowa. Miała starającego się, ale nieoczekiwanie z nim zerwała. I spotkała Mariana. A może kolejność zdarzeń była inna? Może właśnie to spotkanie zaważyło na jej decyzji?

Już nie byli nastolatkami. Ślub wzięli wiosną 1929 roku w Rzeszowie. Osieroconą Emilię wydawali za mąż przyjaciele rodziców, Maria i Józef Nethowie. Przyjęcie weselne odbywało się w ich mieszkaniu przy ul. Krakowskiej 13, nieopodal ślizgawki, gdzie się państwo młodzi przed laty poznali.

– Szkoda, że takich zbiegów okoliczności fizyka nie tłumaczy!  
– mówię do profesora Kazimierza Grotowskiego.

W jego gabinecie, w Instytucie Fizyki Uniwersytetu Jagiellońskiego przy ul. Reymonta, pijemy herbatę i oglądamy fotografie.

### MATKA EMILIA ZWANA MIŁĄ

Jeśli ktoś sądzi, że szczęście przychodzi raz i na zawsze, myli się. Ono jak meteor na wieczornym niebie to pojawia się, to znika. Na zdjęciu, które zostało zrobione w lipcu 1939 roku w Zarytem

koło Rabki, ten meteor jeszcze świeci pełnym blaskiem. Emilia Grotowska ma koło siebie obu synów, starszego Kazika i młodszego Jurka. W tle zieleń. Są na wakacjach. Jeszcze nie wiedzą, że niebawem przyjedzie po nich ojciec, aby żonę i dzieci zabrać

do Przemyśla, do domu, bo zanosi się na wojnę. Nikt się też nie spodziewa, że za dwa miesiące Emilia i jej dwaj synowie na całe dalsze życie pozostaną sami i nigdy więcej nie spotkają – ona męża, a dzieci ojca.

### OJCIEC MARIAN GROTOWSKI W MUNDURZE

Najpierw chciał w Wiedniu studiować na politechnice, ale nie powiodło mu się na egzaminie

z matematyki. Zaczął studia na Wydziale Leśnictwa, które ukończył dopiero po wojnie na Uniwersytecie Poznańskim i przez rok studiował dodatkowo na Wydziale Leśnictwa w Nancy we Francji. Do wybuchu drugiej wojny wiele razy zmieniał posady i zajęcia. Był nadleśniczym na Wołyniu, nauczycielem w szkole zawodowej w Lesznie, zarządcą lasów koło Rozwadowa, rzeczoznawcą sądowym, a na koniec – w Przemyślu, w instytucji wojskowej zajmującej się budową poligonów – specjalistą od lasów. Po godzinach pracy uczęszczał na lekcje rysunku i malarstwa. Po wybuchu wojny wraz ze swoim biurem został ewakuowany na Węgry, potem do Anglii, gdzie już jako kapitan służył w wojsku polskim w Szkocji.

– Codziennie wieczorem modliliśmy się z matką o zakończenie wojny i powrót taty – mówi profesor Grotowski.

Dopiero w 1944 roku za pośrednictwem PCK otrzymali wiadomość, że żyje. O tym, że pracował również w Polskim Ministerstwie Spraw Wojskowych w Londynie, rodzina dowiedziała się wiele lat później. Nic nie wiedzieli także o jego studiach artystycznych w Glasgow ani o portretach, ani o rzeźbach, które sprzedawał, a także wystawiał w Londynie, Glasgow, Edynburgu, na Akademii Królewskiej. Dopiero z czasem zaczęły nadchodzić w listach fotografie jego prac. W 1946 roku posłał im do Polski kuriera ze znaczną sumą pieniędzy, na ucieczkę na Zachód, bo on do kraju pod komunistycznymi rządami wracać nie chciał.

Ani kurier, ani pieniądze nie dotarły. W 1949 roku, w wieku 51 lat inżynier leśnik, artysta malarz i rzeźbiarz Marian Grotowski wyjechał do Argentyny.

– Wyrusza po złote runo – skomentowała ten krok matka profesora, która w tym czasie sama, z pensji nauczycielskiej, starała się zapewnić byt i wykształcenie obu chłopcom.

– Z Argentyny będzie mi łatwiej wrócić do Polski niż z Anglii – napisał do niej mąż.

Liczył na karierę artystyczną. Teraz raczej malował, bo rzeźba wymagała większych nakładów finansowych, a on często nie miał na życie. Podejmował się każdej pracy, był nawet przez krótki czas tragarzem. Na szczęście spotkał znajomego, jeszcze z Rzeszowa, który mu pomógł. Prowadził faktorię nad górną Paraną, w dżungli. Dostali kilka jego obrazów. Świadczyły o niewątpliwych uzdolnieniach artystycznych, niestety późno uświadomionych. (Ale los zrządził, że artystyczną karierę zrobił jego młodszy syn). Umarł w Paragwaju, gdzie pracował w szkole British Council jako nauczyciel angielskiego. W grudniu 1968 roku, na atak serca.

– W czasie mojego pobytu w Birmingham, w 1960 roku, mogłem z ojcem korespondować bez obawy, że to przeczyta polska cenzura. Namawiałem go do powrotu do Polski. Wracać nie chciał. Może bał się konfrontacji z matką? Może uważał, że znaleźli się już zbyt daleko od siebie? Ona na wiadomość o jego śmierci powiedziała: – Już go nigdy nie zobaczę! Wtedy zrozumiałem, jak bardzo tego pragnęła – mówi profesor Grotowski.

## WOJNA W OBRAZACH

Nikt w czasie wojny nie używał aparatu fotograficznego w momentach dramatycznych. Te obrazy utrwaliły się w pamięci dziecka. Kiedy wybuchła wojna, Kazimierz Grotowski miał dziewięć lat, jego młodszy brat Jerzy – sześć. Pamięta ewakuację pociągiem na wschód. Ojciec pojechał innym pociągiem ze swoim wojskowym biurem. Z okien wagonu widzieli pożar rafinerii pod Drohobyczem. Pociąg został zbombardowany, samoloty ostrzeliwały uciekające kobiety i dzieci. Trafili do jakiejś leśniczówki. W nocy na motocyklu przyjechał ojciec zobaczyć, czy żyją, ale rano odjechał. Następną noc spędzili we wsi w większości zamieszkałej przez Ukraińców, pod Lwowem. Usłyszeli strzały, krzyki mordowanych

Polaków. Ich gospodyni, Ukrainka, kazała im położyć się na podłodze i nie ruszać. Tak ocaleli. Rano dowiedzieli się, że Sowieci wkroczyli do Polski.

Wrócili do Przemysła. W ich mieszkaniu przy ul. Grodzkiej, w pobliżu katedry i zamku, został zakwaterowany sowiecki oficer, zastępca komendanta miasta. Jednego dnia powiedział matce, że jako rodzina przedwojennego wojskowego zostaną wywiezieni na wschód. Dwa razy tego nie musiał powtarzać. Zapakowała w wielką chustę trochę ubrań oraz wielki budzik, dzieci za rękę i w drogę. Do Rzeszowa, gdzie mieszkała rodzina. Na moście kolejowym na Sanie z jednej i z drugiej strony kłębił się tłum uciekinierów. Na krótko otwarto radziecko-niemiecką granicę na okupowanych polskich ziemiach. Chłopcom serca podeszły do gardeł ze strachu, kiedy zobaczyli, że ten tłum przewrócił mamę i zaraz może ich stratować. Tak by się stało, gdyby nie pospieszył im z pomocą niemiecki żołnierz w eleganckim mundurze. Rosjanie przy Niemcach prezentowali się mizernie. Ale to nie miało większego znaczenia. To wróg – i to wróg.

Jako następny z pamięci wyłania się obraz izby z piecem kuchennym we wsi Nienadówka pod Rzeszowem. Tam matka

otrzymała posadę nauczycielki. Zamieszkała z dziećmi u rodziny Ożogów. Byli to zaci niemieccy. Mielili gromadkę dzieci. Pomagali Grotowskiemu w codziennym życiu. We wsi miała swoją komórkę Armia Krajowa. Jednego dnia dokonano udanego zamachu na komendanta gestapo w Sokołowie. Niemcy w odwecie urządzili pacyfikację wsi. Chodzili od domu do domu, wywlekali mężczyzn, bili ich i dziesiątkowali. Małe dzieci czepiały się rąk ojców

i braci, jakby wierzyły, że mogą ich obronić. Szczęśliwym trafem Franciszek Ożóg ocalał. Kiedy dwaj żołnierze niemieccy wpadli do ich izby, oni leżeli w łóżku, pokryci żółtawymi strupami ospy.

– Chorują na bardzo zaraźliwą chorobę – powiedziała po niemiecku matka, po czym nastąpiła chwila ciszy. Przybysze zastanawiali się, co z nimi mają zrobić, matka milczała jak skazaniec oczekujący wyroku, a chłopcy w swojej dziecięcej wyobraźni odwoływali się do znanych

z książek opowieści o tym, jak ginęli dzielni bohaterowie. Teraz oni mogą odegrać rolę takich bohaterów. Niemcy wycofali się. Pytanie bez odpowiedzi o własną śmierć, jako coś realnego, pozostało w ich pamięci na zawsze. W uszach – stukot młotków i dźwięk pił tnących nazajutrz deski na trumny dla pomordowanych.



Ojciec Marian Grotowski w mundurze



Pani Anna Grotowska zagląda mężowi przez ramię, co też on czyta

## PŁASZCZ STRYJA ERAZMA

Stryj Erazm był młodszym bratem dziadka Bolesława Grotowskiego. Absolwent Akademii Wojskowo-Technicznej w Wiedniu, specjalista od materiałów wybuchowych, pułkownik w armii austriackiej. Do polskiego wojska zgłosił się w 1918 roku. Wtedy też przeniósł się z Wiednia do Warszawy. Organizował fabryki amunicji. Ożenił się późno z wdową Anielą Różycką. Najpierw był u niej zakwaterowany. Po zakończeniu wojny bolszewickiej miał się wyprowadzić, a wtedy gospodyni zapytała:

– Czy Pan, generale, musi to zrobić? Bo stryj już był generałem brygady.

– Jeśli Pani zechce przyjąć moje oświadczyzny – to nie!

I tak się stało. Stryj Erazm Grotowski zmarł w czasie okupacji, w 1942 roku, w stopniu generała dywizji. Rodzina odebrała jego rzeczy osobiste. Wśród nich – generalski płaszcz. Matka ten płaszcz trochę zwęziła, odpruła dystynkcje. Najpierw był sporo za duży dla starszego z synów, Kazimierza, ale z roku na rok leżał coraz lepiej.

– Bardzo długo w tym wojskowym płaszczu chodziłem! – mówi profesor.

Długo, to znaczy będąc uczniem gimnazjum i liceum o profilu matematyczno-fizycznym w Rzeszowie przy ul. Krakowskiej. Już jako student fizyki UJ tego płaszcza nie nosił.



Z żoną Anną na jachcie

## DUCH PRZY ULICY GOŁĘBIJ 13

Profesor Henryk Niewodniczański, twórca krakowskiej szkoły fizycznej, wybitny uczony znany na świecie (zajmował się optyką atomową, odkrył magnetyczne promieniowanie dipolowe, a potem fizyką jądrową, co łączy się z pobytem w Cambridge u laureata Nagrody Nobla Ernsta Rutherforda), miał wielką słabość do duchów.

– Jak to możliwe? – pytam profesora Grotowskiego. – Fizyk i duchy?

– Szkoła, że Pani nie mogła znać profesora Niewodniczańskiego! – słyszę.

Kilka pokoleń fizyków ma mu wiele do zawdzięczenia. Wilniak z urodzenia, chciał stworzyć ośrodek fizyki jądrowej na Uniwersytecie Poznańskim, potem na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, czemu na przeszkodzie stanęła wojna. Udało mu się tego dokonać dopiero na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie w 1946 roku objął Katedrę Fizyki, z której potem wykształcił się Instytut Fizyki.

– Budynek przy ul. Gołęziej 13, Kolegium Witkowskiego, stał się naszym domem! – dopowiada profesor. – Spędzaliśmy tu czas od rana do późnego wieczora. Dla relaksu grywałem w ping-ponga na stole ustawionym na korytarzu, ale jak to młodzi ludzie, robiliśmy też

rzeczy zupełnie niepoważne, kładliśmy na tablicy z bezpiecznikami deskę z wyrysowaną na niej tarczą i strzelaliśmy z wiatrówki do celu, w czym najlepszy był Wiesław Czyż. Niektórzy mieszkali w budynku, jak Jerzy Janik z żoną, a ja czasami też. Raz przydarzyło mi się wystąpić w roli ducha.

I profesor opowiada, jak do tego doszło.

– Jedną z osób mieszkających przez jakiś czas w Kolegium Witkowskiego była żona profesora Jana Błatona. Błaton krótko pracował w Krakowie. Zginął w czasie wycieczki na Świnicę. Kiedyś do późnej nocy wykonywałem pomiary i postanowiłem zostać do rana. Dobrze byłoby się gdzieś przespać. Nawet wiedziałem, gdzie. W pokoiku obok biblioteki. Stał tam nieduży tapczanik. Wprawdzie o tej porze drzwi były zamknięte na klucz, ale była to przeszkoda żadna. Podważyłem kilka gwoździ mocujących szybkę, włożyłem rękę

i nacisnąłem klamkę. Jakie było moje zdziwienie, kiedy z tapczanika podniosła się nagle postać kobieca w czepku na głowie! Co miałem robić? Najciszej jak potrafiłem, wycofałem się, założyłem szybkę i przespałem się na stole w laboratorium. Rano – zamieszanie! Ciotka pani Błatonowej, która niespodziewanie przyjechała do Krakowa i zanocewała w Instytucie, widziała ducha! Profesor Niewodniczański triumfował.

– Tu w czasie wojny był szpital, ludzie umierali, duchy są! – dowodził,

mając potwierdzenie w relacji ciotki.

– Wyprowadził go Pan z błędu? – pytam.

– Nie chciałem psuć mu nastroju! Profesor z przymrużeniem oka uważał, że z duchami świat byłby ciekawszy. Jednego ducha znał po imieniu. To był Agregor – słyszę.

Dziś dawni asystenci prof. Henryka Niewodniczańskiego przyznają, że incydenty z duchami lub inne, podobne przypominały im, że są młodzi, rozpiera ich radość życia, ale faktycznie żyli wtedy trochę jak w zakonie. Praca, praca, praca. Ona była dla nich w tamtych latach nie tylko przygodą naukową, ale także ucieczką przed napierającą zewsząd indoktrynacją i upolitycznieniem. Ucieczką skuteczną. Im jakoś władza dawała spokój.

– My zajmowaliśmy się fizyką jądrową. Zdaje się po cichu liczone na to, że gdyby zaszła potrzeba, skonstruujemy bombę atomową! – mówi profesor Grotowski.

Portret mistrza prof. Henryka Niewodniczańskiego wisi w gabinecie, w którym rozmawiamy, po prawej stronie, przy oknie.

## LENIN W KRAKOWIE

Anna Psarska, z urodzenia lwowianka, była studentką pierwszego roku chemii. Asystent Kazimierz Grotowski prowadził na jej roku ćwiczenia z fizyki. W jakiś czas po pomyślnie zdanym u niego kolokwium – zaprosił ją na spływ po Dunajcu. Zapakował

kajak składany i niewiele więcej, bo wieczorem Anna miała być w domu. Wyładowali się z pociągu, razem złożyli kajak i już można było płynąć.

– Miałem pecha! Nie zauważyłem promowej liny. Ledwie wsiedliśmy i parę razy ruszyliśmy wiosłami – znaleźliśmy się w wodzie. Na domiar złego ona nie umiała pływać. Ratowałem najpierw dziewczynę, a potem sprzęt pływający. Zobaczyłem, że w powłoce jest dziura... – wspomina ten pierwszy wspólny spływ prof. Kazimierz Grotowski. Reperowanie kajaka trwało jakiś czas.  
– Płyniemy dalej, czy wracamy? – zapytał Kazimierz Grotowski.

Nie chciała mu robić przykrości. Możemy płynąć – powiedziała. W dwa lata później wzięli ślub. Na zdjęciu, które oglądam, pani Anna zagląda mężowi przez ramię, co też on czyta. Na drugim widzę ich oboje na jachcie, którym płyną w czasie wakacji.

Przez jakiś czas mieszkali w niedużym, dwupokojowym mieszkanku przy ul. Jadwigi z Łobzowa. Z synem Andrzejem, a czasem i z mamą pani Anny. Ciasno im tam było. Znaleźli rodzinę, która wolała z większego lokum przejść na mniejsze.

– Idę na ulicę Frycza-Modrzewskiego, patrzę, przy wejściu wisi odlana z brązu tablica: „W tym domu mieszkał Włodzimierz Iljicz Lenin”. Dzwonię pod wskazany numer. Okazuje się, że wódz rewolucji z Nadeждą Krupską zajmowali lokal, do którego teraz ja mam się sprowadzić z rodziną! – mówi profesor i nawet nie stara się ukryć wesołości.

Zaraz się rozniosło, że Grotowski wprowadza się do mieszkania po Leninie! Koledzy postanowili przyjść na obławianie z prezentem najstosowniejszym: z popiersiem wodza rewolucji. Zaczęły się poszukiwania, ale bezskuteczne. Nigdzie takiego popiersia nie można było kupić. Adam Strzałkowski zatelefonował w tej sprawie do komitetu partii:

– Ale macie ładne porządki! Żeby obywatel nie mógł sobie postawić w mieszkaniu popiersia wodza światowego proletariatu! – oburzał się do słuchawki, co spotkało się po drugiej stronie z wyrazami ubolewania i przeprosinami. Jesliby się zgodził poczekać tydzień, to oni spowodują, że popiersie będzie.

– Ale ja potrzebuję je mieć pojutrze! – zakończył rozmowę Strzałkowski. W imieniu kolegów i własnym zakupił gospodarzom

w prezencie popiersie nieduże, jedyne, jakie było w zasięgu możliwości, oraz komplet szklanek z wizerunkiem Lenina. Szkoda, że te szklanki już się wytlukły. Natomiast popiersie... – Odwiedzający nas pies lubił je nosić w pysku i wrzucać a to pod łóżko, a to pod szafę... – mówi profesor i oboje wybuchamy śmiechem.

## CYKLOTRON DLA KRAKOWA

Profesor Niewodniczański chciał, aby Kazimierz Grotowski napisał pracę magisterską z dziedziny optyki. Ale Grotowski już wtedy interesował się fizyką jądrową. Sam wybrał temat: *Efekty temperaturowe w pracy licznika Geigera- -Müllera*. Aby badać efekty emisji termoelektronów w zmieniającej się temperaturze, wcześniej musiał sam taki licznik zbudować. Dyplom magistra filozofii na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym uzyskał w 1952 roku.

W trzy lata później na najwyższym szczeblu rządowym zapadła decyzja o budowie w Krakowie Instytutu Fizyki Jądrowej, gdzie będzie zainstalowany radziecki cyklotron U-120. Oni, młodzi fizycy, poczuli wiatr w żaglach! Na zdjęciu widzę ich dwóch – Adama Strzałkowskiego i Kazimierza Grotowskiego – natlewniesionego

w Bronowicach budynku Instytutu. Oglądają notatki. Nawet nie zauważyli, że Andrzej Budzanowski ich fotografuje. Potem przez wiele lat prowadzili tutaj we trójkę wspólne prace badawcze.

Kazimierz Grotowski niebawem, w 1956 roku, pojechał do Leningradu, do Instytutu Joffego, aby tam zapoznać się z radziecką

elektroniką, na owe czasy bardzo nowoczesną. Żona nie otrzymała sowieckiej wizy. W Leningradzie trafił do laboratorium dr. E.E. Berłowicza, który się zajmował pomiarami czasu życia wzbudzonych jąder atomowych. Grotowski miał prawo wstępu tylko do dwóch pokoi. Każdego dnia po skończonej pracy wszystkie notatki wkładał do kasy pancernej i zamykał na klucz. Potem ten klucz chował do specjalnego pudełka, które lakował, pieczętował i oddawał strażnikowi z KGB. Wiadomo. Wróg



Z Jurijem Borysewiczem Meklerem na wodach Zatoki Fińskiej



Adam Strzałkowski i Kazimierz Grotowski na tle wzniesionego w Bronowicach Instytutu Fizyki Jądrowej

nie śpi!

Po powrocie do Krakowa w 1958 roku, na podstawie eksperymentów przeprowadzonych w laboratorium dr. Berłowicza powstała rozprawa doktorska: *Pomiary czasów życia stanów wzbudzonych nuklidów  $^{167}\text{Er}$ ,  $^{147}\text{Sm}$ ,  $^{190}\text{Os}$  i  $^{145}\text{Eu}$ , powstałych przez*

wychwył elektronów K, której promotorem był prof. Niewodniczański, bo ktoś by inny!

## Z JURIJEM BORYSEWICZEM MEKLEREM NA WODACH ZATOKI FIŃSKIEJ

W Instytucie Joffego jego rosyjscy koledzy pytali Kazimierza Grotowskiego:

– Czego wy, Polacy, tak nie lubicie Rosjan?

– W każdej polskiej rodzinie ktoś umarł na Syberii! – odpowiedział Grotowski. Ucieszyli się. – O co ci chodzi? W naszej też!

Tutaj poznał Jurija Borysewicza Meklera, rosyjskiego Żyda, dysydenta, o którym Andriej Sacharow wspomina w pamiętnikach. Mieszkał w niedużym pokoiku w „komunałce”. Poza łóżkiem resztę pokoju wypełniały książki i płyty gramofonowe, bo pasją gospodarza była fizyka oraz muzyka symfoniczna. Przypadli sobie do gustu. Obdarzyli zaufaniem.

Kiedyś Mekler zaprosił Polaka na spotkanie rosyjskich dysydentów. W malutkim, prawie pustym mieszkanku kilkadziesiąt osób słuchało czytanego na głos *Doktora Żywago*. Razem pływali po wodach Zatoki Fińskiej, co zostało uchwycone na zdjęciu. Obaj tacy młodzi!

Po powrocie do Polski Kazimierz Grotowski dowiedział się, że Mekler miał proces polityczny o szpiegostwo, że wbrew instrukcji wyniósł z Instytutu do domu notatki, aby nad nimi dalej pracować. Został skazany na wiele lat łagru.

W gułagu znalazł się razem z grekokatolickim arcybiskupem Lwowa Józefem Slipyjem, aresztowanym przez NKWD w 1945 roku. Arcybiskup został zwolniony w 1962 roku po licznych zabiegach Stolicy Apostolskiej oraz po osobistej interwencji wiceprezydenta USA Richarda Nixona. Mekler widział, jak to się odbyło. Do więzienia Slipyja podszedł strażnik, zabrał go, kazał mu się umyć, poddano go odswszeniu, bo ma lecieć do Moskwy. Ale po co – tego już mu strażnik nie powiedział, a może nawet nie wiedział. Na lotnisku w Moskwie, wsadzili go w samolot lecący do Warszawy. Dopiero wtedy się dowiedział, że

nie czeka go kolejne przesłuchanie i być może śmierć, ale celem podróży jest Watykan.

– Mekler gułag przeżył? – pytam.

– Zwolnili go po paru latach, ale do pracy naukowej wrócić nie pozwolili, jakiś czas był kierowcą. W końcu dostał zgodę na wyjazd. Wyemigrował do Izraela, został profesorem astrofizyki na Uniwersytecie w Tel Awiwie. Odwiedził arcybiskupa Slipyja w Watykanie. Spotkaliśmy się najpierw w latach 80. tamtego stulecia w San Francisco, gdzie nad brzegiem Pacyfiku rozmawialiśmy przez całą noc, a potem w Polsce, cztery lata temu, co zostało uchwycone na zdjęciu.

W tle Sukiennice, a na pierwszym planie stoi moja żona i Jurij Borysewicz Mekler – słyszę.



Anna Grotowska i Jurij Borysewicz Mekler

## SZPIEG W BIRMINGHAM

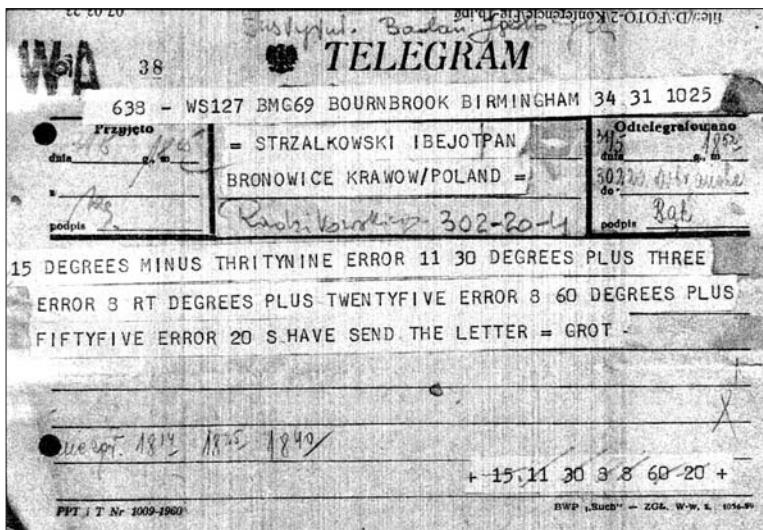
– Pierwszą wiązkę jonów z cyklotronu U-120 pracującego w Instytucie Fizyki Jądrowej uzyskaliśmy w listopadzie 1958 roku. Wyprwadziliśmy ją w powietrze. Schowani za osłonami oglądaliśmy efekt poprzez system zwierciadeł, a następnie sfotografowaliśmy. Wyglądała jak świecąca miotła o długości kilkudziesięciu centymetrów, grubsza na końcu, zgodnie z prawem jonizacji Bragga. Poczuliśmy zapach ozonu. Byliśmy podnieceni i wzruszeni – wspomina profesor. – Wtedy wykonaliśmy pierwszy pomiar polaryzacji neutronów w reakcji strippingu deuteronów na węglu przy energii 12.9 MeV.

Niebawem dzięki osobistym kontaktom profesora Niewodniczańskiego doktor Grotowski otrzymał stypendium i znalazł się na Uniwersytecie w Birmingham. Zabrał ze sobą wyniki tych pomiarów, aby je statystycznie opracować. Znowu musiał jechać sam. Tym razem paszportu odmówiły żonie polskie służby specjalne.

– Przyślij nam te wyniki natychmiast! – jednego dnia zaalarmował z Krakowa Adam Strzałkowski. – Jedziemy z profesorem na konferencję do Francji. Będziemy to referować.

Jak szybko, to szybko. Kazimierz Grotowski poszedł do najbliższego urzędu pocztowego przy Bournbrook Road.

– Chciałbym nadać depezę – powiedział i podsunął kierownikowi poczty tekst zawierający kilka liczb określających kąty, wartości polaryzacji i błąd pomiaru. Ten to przeczytał i mówi:



Zachował się telegram wysłany z Birmingham do Krakowa 31 maja 1959 r. o godz. 18

– Przepraszam, *Sir*, ale nie nadam takiego telegramu.

Kazimierz Grotowski wrócił do siebie (wynajmował pokój u Polaka, u inż. Rudawskiego). Ledwie zdążył założyć pantofle i usiąść przy kominku, wchodzi urzędnik pocztowy i znowu go przeprasza. Tym razem za to, że depeszy nie przyjął.

– Ja nadam ten telegram – mówi na koniec.

– Bardzo proszę! – ucieszył się zdumiony naukowiec.

Skąd ten Anglik wiedział, gdzie ma pójść? Kto go zainspirował? Można się domyślić. Trop tych dociekań podsunęły profesorowi dwie starsze panie z sąsiedztwa, Angielki. Policja brytyjska zasięgała u nich informacji, o której wychodzi z domu, o której wraca i kogo u siebie przyjmuje stypendysta zza żelaznej kurtyny.

– Zdaje się, że tego dnia mocno namęczyli się specjaliści obu wywiadów, brytyjskiego i polskiego, aby rozszyfrować ten telegram – mówi profesor.

Zachował się w oryginale. Został wysłany z Birmingham do Krakowa 31 maja 1959 roku o godz. 18.

## PÓŹNE ZDJĘCIE MATKI

– Ile na tym zdjęciu mama może mieć lat? – pytam profesora.

– Ponad siedemdziesiąt – mówi profesor.

Sfotografował ją w Tar-nawie, niedaleko Limanowej, na tle starej chałupy (na jej miejscu wybudowali z żoną w 1990 r. nowy dom, bez żalu pożegnali Kraków i mieszkają tam teraz na stałe, mając za oknami widok na zalesione wzgórze Beskidu Wyspowego). Emilia Grotowska stoi na tle starych jabłoni. Wszystko wyraża jej spojrzenie. Spokój przede wszystkim.

Ma za sobą ciężkie lata, ale opłaciło się! Starszy syn w wieku 33 lat napisał habilitację, teraz już jest profesorem UJ, był wizytującym profesorem na Katolickim Uniwersytecie Louvain-la-Neuve i w Kernforschungszentrum w Karlsruhe. Współpracował z Uniwersytetem Maryland, Lawrence Berkeley Laboratory, Kernfysisch Versneller Instituut w Groningen, IRN w Grenoble, A&M Texas University, University of Rochester, Michigan State University, a nawet z projektującym wyrafinowane uzbrojenie Lawrence Livermore Laboratory, gdzie używał największych amerykańskich komputerów (ale poruszać się tam swobodnie nie mógł z wiadomych względów). Przez parę tygodni matka była u Anny i Kazimierza w Belgii, jeździli razem po Europie. Młodszy, Je-

rzy, poszedł inną drogą. Jest znanym na świecie twórcą teatru Laboratorium w Opolu, a potem we Wrocławiu, reformatorem sztuki aktorskiej. Nie raz oglądała jego spektakle. Nie tak dawno w krakowskich Krzysztoforach *Księcia niezłomnego*. Jerzy zabrał ją na wyprawę po Indiach. Niezwykle to było! Cóż powiedzieć: walczyła o ich wykształcenie. Bo to była walka, na dodatek samotna. Uczyla ich języków. W czasie okupacji zdobywała książki. Marzyła o dobrej przyszłości dla nich. I proszę! Bez marzeń w życiu nie ma nic.

## WIDOK NA GOLDEN GATE BRIDGE

Będąc w Kopenhadze, co miało miejsce na początku lat 60. tamtego wieku, Kazimierz Grotowski poznał fizyka z Maryland University w Waszyngtonie, Sandy'ego Walla. Niedługo potem profesor Wall przyleciał do Krakowa. Witają się na lotnisku, a Wall podaje Grotowskiemu niewielki przedmiot – półprzewodnikowy detektor krzemowy, którego nie mieli w Krakowie, bo z powodu embarga nie można go było kupić.

– Między nami zawiązała się przyjaźń na wiele lat – mówi profesor i zaraz uzupełnia charakterystykę Sandy'ego Walla, który był amerykańskim Żydem z korzeniami ukraińskimi, a może nawet po trochu polskimi, bo rodzina wyemigrowała gdzieś ze wschodnich krańców dawnej Rzeczypospolitej. Kasza! – powtarzał z upodobaniem Wall, kiedy Anna Grotowska postawiła

na stole przed gościem dymiący talerz. On to słowo zapamiętał z domu rodzinnego. Przez pewien czas przebywali razem w Louvain-la-Neuve w Belgii. Będąc tam właśnie jednego dnia, spotkali w restauracji księdza, dzisiaj profesora Michała Hellera. Z wykształcenia kosmologa. Inteligentny, przystojny brunet, bardzo elegancko ubrany, znakomicie mówiący po angielsku. Sandy Wall, daleki od nacjonalistycznego szowinizmu, niemniej przekonany był o wyższości intelektualnej swojego narodu.

– Jest Żydem? – zapytał Wall pewny twierdzącej odpowiedzi.

– Nie, on jest katolickim księdzem! – odpowiedział Grotowski.

Wall i Grotowski przygotowywali wspólną przeglądową publikację o efektach rozpraszania cząstek alfa, nad czym razem pracowali. Nie zdążyli jej napisać. Sandy Wall poddał się prostej z pozoru operacji. Urwał się skrżep, zaczopował naczynia krwionośne, pacjent zmarł.

– Wie Pani zapewne, które nacje mają na swoim koncie najwięcej Nagród Nobla na głowę w naukach ścisłych? – pyta mnie profesor Grotowski.



*Późne zdjęcie matki*



*W Auli Collegium Novum laudację na cześć doktora honoris causa UJ prof. Władysława Świąteckiego wygłosił prof. Kazimierz Grotowski*

– Żydzi – nie mam wątpliwości.

– I jeszcze Węgrzy – dopowiada profesor. – My jesteśmy raczej w tyle, ale cenimy sobie każde polskie osiągnięcie w tej dziedzinie.

Zdjęcie, które teraz oglądam, zostało wykonane w 2000 roku, w Auli Collegium Novum UJ podczas uroczystości wręczenia doktoratu *honoris causa* profesorowi Władysławowi Świąteckiemu, znanemu w świecie twórcy kropelkowego modelu jądra atomowego. Taki model pozwala bardzo dokładnie obliczać jego masę. Laudację wygłosił profesor Grotowski z wielką satysfakcją.

– Mówiłem o wybitnym uczonym i przyjacielu zarazem. Profesor Świątecki jest zagranicznym członkiem PAU, pracuje w Lawrence Berkeley Laboratory. Ma piękny dom w zielonej dzielnicy na skalistym zboczu, skąd widać zatokę i Golden Gate Bridge. Byliśmy tam znowu z Anną w ubiegłym roku – słyszę.



*Naukowa wyprawa w Himalaje latem 1973 r. Od lewej: Maciej Kuczyński, Donald Oakley, Kazimierz Grotowski, Zbigniew Jaworowski, oficer łącznikowy, Wiesław Maczek i w dolnym rzędzie: dwóch Szerpów oraz Krzysztof Cielecki (zawodowy alpinista)*

## HIMALAJE

– Góra w tle to już Tybet. Tu między innymi siedzi Donald Oakley, wicedyrektor Amerykańskiej Agencji Ochrony Środowiska, Zbigniew Jaworowski, profesor z CELOR-u – Centralnego Laboratorium Ochrony Radiologicznej w Warszawie, oficer łącznikowy – Nepalczyk, z wykształcenia fizyk, z urodzenia arystokrata, dwaj Szerpowie – analfabeci, którzy dobrze mówili po angielsku, i ja – objaśnia profesor Grotowski, stojąc obok zdjęcia, które wisi na ścianie w jego gabinecie, a zostało wykonane w czasie naukowej wyprawy w Himalaje, w 1973 roku.

Zaczął się od zbudowania przez doktoranta profesora Grotowskiego Marcina M. Wójcika (obecnie profesora) unikatowej aparatury, która pozwalała badać śladowe radioaktywności typu  $\beta$ .

Zanieczyszczenia odkładają się w kolejnych warstwach lodowców. Wystarczy ze szczelin lodowych pobrać kolejne próbki i je przebadać. Zbigniew Jaworowski od lat współpracował z Amerykanami. Oni dali pieniądze, Polacy sprzęt. Spod domu profesora w Krakowie do Katmandu wyjechał specjalnie przystosowany do takiej drogi „Jelcz” z napisem „Polish-American Himalaya Expedition”. Jechali przez Turcję, Iran, Afganistan, Pakistan, Indie i Nepal.

Mijali wsie otoczone glinianymi murami. Widzieli orkę sochą i wołami, wędrujące karawany nomadów. Wszyscy mężczyźni byli uzbrojeni. Jeden nawet w wielki miecz. Nieśli ze sobą cały swój majątek, kobiety sznury biżuterii. Dzisiaj, kiedy polscy żołnierze wyjechali na niebezpieczną misję do Afganistanu, profesor ma przed oczami drogę z Kandaharu do Kabulu, którą oni mają ochraniać. To jest dobra, asfaltowa droga. Naokoło pustynny step. Nie bardzo jest gdzie się schronić.

– Jakie zanieczyszczenia znajdowały się w himalajskich lodowcach? – pytam.

– Między innymi znaleźliśmy odłożony w lodowcach izotop ołowiu  $^{210}\text{Pb}$ . W latach 60. ubiegłego stulecia Sowieci detonowali wiele „brudnych” bomb wodorowych, co potwierdziły nasze badania – słyszę.

## KLUB GROTOŁAZÓW

NiefORMALNY Klub miał siedzibę przy ul. Warmińskiej 5 w Krakowie, w domu prof. Kazimierza Kowalskiego, w latach 1994–2000 prezesa PAU, a wtedy młodego asystenta, jak oni wszyscy. Było ich siedemnaście. Aby zostać przyjętym do tego grona należało uzyskać zgodę wszystkich członków i nie wierzyć w słuszne idee, które miały sprowadzić szczęśliwość powszechną.

W tamtych czasach gdzie indziej, jak nie w jaskiniach lub w górach, można było bez obawy opowiadać polityczne dowcipy i śpiewać legionowe pieśni? Z czasem z ich grona dwunastu zdobyło tytuły profesorskie, jeden doktora habilitowanego, jeden został pisarzem, trzech zawodowymi podróżnikami, jeden dziennikarzem. W latach 50. i 60., smutnych latach w polskiej historii, wspinali się w Tatrach, schodzili do Jaskini Miętusiej, czterokrotnie eksplorowali Jaskinię Zimną w Dolinie Kościeliskiej, zdobywali jaskinie w Bułgarii, we Włoszech i Francji.

Porównując dzisiejsze możliwości, o ich sprzęcie i ubiorach nie ma co wspominać!

Zdjęcie, które oglądam, wykonał 12 października 1997 roku jeden z grotolazów, prof. Leszek Dziegiel, etnograf, przed domem Grotowskich w Tarnawie. Stoją od lewej: prof. Jerzy Tomaszewski, chemik; prof. Ryszard Gradziński, geolog; inż. Władysław Danowski, geolog i polarnik; prof. Włodzimierz Starzecki, biolog; prof.



*Klub Grotolazów. Zdjęcie z 12 października 1997 r.*

Andrzej Budzanowski, fizyk; prof. Kazimierz Grotowski, gospodarz spotkania; dr Wiesław Maczek, biolog i podróżnik; Maciej Kuczyński, pisarz, podróżnik, z wykształcenia architekt.

– Autor zdjęcia już nie żyje – mówi profesor.

## SZTUKA STAWIANIA PYTAŃ

– Fizyk, taternik, grotolaz, żeglarz. Czego Pan w życiu szukał?

– Czegoś nowego. Ale aby szukać, trzeba wcześniej postawić właściwe pytania, co ma decydujące znaczenie. Proszę zauważyć, że ludzie często stawiają niewłaściwe pytania – słyszę.

– Przez blisko sześćdziesiąt lat, które poświęcił Pan fizyce, zmieniły się epoki! Które z pytań stawianych obecnie przez fizyków zapowiadają kolejny przełom w tej dziedzinie wiedzy? – pytam.

– W minionym stuleciu astronomowie bardzo udoskonaliли metody obserwacyjne, z czego wyniknęły nowe wyzwania dla fizyki. Wszechświat się rozszerza. Dlaczego? Czemu na początku robił to niesłychanie szybko (inflacja)? Wiele faktów wskazuje, że materia baronowa, z której zbudowany jest obserwowany przez nas świat, stanowi tylko nikły procent materii, która jest we Wszechświecie. Czym ona jest? Budzi to szereg kontrowersji. Kilka działów fizyki, głównie fizyka cząstek elementarnych, prawdopodobnie również ogólna teoria względności (brak efektów kwantowych), musi się przekształcić, aby wszystkie te obserwacje wytłumaczyć. Przeczujemy, że stoimy na progu czegoś nowego, ale jeszcze nie wiemy, co to będzie. Podobnie było z pytaniem, dlaczego gwiazdy świecą. Też tego długo nie wiadano. Dopiero kiedy w XX wieku pojawiła się mechanika kwantowa i fizyka jądrowa, Hans Bethe wyjaśnił, że w centrum każdej gwiazdy płonie reaktor termojądrowy. Stało się to za mojego życia fizyka, gdy kończyłem pracę magisterską.

## NIE WSZYSTKO JEST NA ZDJĘCIACH

To, czego nie mogę zobaczyć na fotografiach, profesor Grotowski stara się mi wyjaśnić na rysunku.

– Dlaczego w górach lub w czasie lotu samolotem możemy obserwować tzw. efekt glorii? Profesor rysuje dwie sylwetki w górach i cienie na chmurze. Słoneczny promień obiegający kropelkę mgły i biegnący wstecz powoduje, że każda osoba widzi tylko jeden cień, zamiast dwóch cieni stojących obok siebie osób. Podobnie jest z falą

materii cząstek alfa obiegającą jądro atomowe.

– Czy można rozerwać jądro atomowe siłą odśrodkową? Znowu śledzę rysunek na tablicy.

Gdybym znała pytania badawcze, na które odpowiadał w swoich 120 publikacjach naukowych oraz artykułach przeglądowych, to pewnie nasza rozmowa trwałaby nieporównanie dłużej. Podobnie byłoby, gdybym chciała dokładnie prześledzić całą drogę naukową Kazimierza Grotowskiego. Od stanowiska zastępcy asystenta po dyrektora Instytutu Fizyki UJ, założyciela Zakładu Fizyki Gorącej Materii. Przez 27 lat przewodniczącego, najpierw Rady Programowej, a potem Naukowej Środowiskowego Centrum Obliczeniowego Cyfronet (to profesor starał się o duże komputery dla naukowego środowiska Krakowa), obecnie przewodniczącego Komisji Astrofizyki PAU. Wypromował 21 doktorów. Siedmioro jego wychowanków to profesorowie i docenci. Ale profesor wybrał ze swojego archiwum tylko dwanaście fotografii.

## SZCZĘŚCIE I ASTRONOMIA

Naprzeciw zdjęcia Henryka Niewodniczańskiego wisi portret Mikołaja Kopernika.

– Naprawdę fizyka zaczęła się wtedy, kiedy Kopernik zapytał, a dlaczego się kręci? Był nadzwyczajnym człowiekiem. Czy szczęśliwym – tego nie wiemy. Stworzył wielkie dzieło, ale bał się je publikować. Musiał rozstać się z kobietą, która była jego gospodynią, a może i żoną – mówi profesor mając na myśli proces, jaki wytoczył astronomowi biskup Jan Dantyszek. Nie tylko astronomowi, ale i lekarzowi, matematykowi, prawnikowi, ekonomście, strategowi, poecie i kanonikowi warmińskiemu. Wybitnemu człowiekowi swojej epoki, a także epok następnych.

## METEOR NA WIECZORNYM NIEBIE

Zdjęcia są zapisem zdarzeń i miejsc, ale nie da się na nich wszystkiego uchwycić, na przykład tego, co jest celem życia każdego człowieka. Osobistego dążenia do szczęścia. A ono jest jak meteor na wieczornym niebie. To pojawia się, to znikła. Szczęścia sfotografować nie sposób, nie można go też zważyć ani zmierzyć, o czym fizyk dobrze wie. Szczęściem fizyka się nie zajmuje.

*Elżbieta Dziwisz*

## NA RZECZ CHORYCH NA BIAŁACZKI

Już po raz dwunasty Fundacja Profilaktyki i Leczenia Chorób Krwi im. profesora Juliana Aleksandrowicza zorganizowała charytatywną aukcję. Tegoroczną imprezę, która odbyła się w krakowskiej Piwnicy pod Baranami, poprowadził, jak zawsze bezinteresownie, historyk sztuki i właściciel Starmach Gallery – Andrzej Starmach. Patronat honorowy nad aukcją objął prof. Stanisław Rodziński.

– *Wśród licytujących byli zarówno miłośnicy sztuki, kolekcjonerzy, jak i osoby, które po prostu chciały wesprzeć naszą inicjatywę* – informuje dyrektor Fundacji Magdalena Ostoja-Gajewska. – *By dodatkowo zasilić budżet Fundacji jedna z osób, która kupiła obraz w roku ubiegłym, teraz przekazała go do powtórnej licytacji. Największym zainteresowaniem cieszyły się prace Magdaleny Abakanowicz i Teodora Axentowicza, za które uzyskano po 5 tysięcy, złotych oraz Stanisława Rodzińskiego i Edwarda Dwurnika, które wylicytowano za 4800 i 4000 złotych.*

Tegoroczny dochód z aukcji zostanie przeznaczony na wynajęcie i utrzymanie mieszkania dla pacjentów Kliniki Hematologii Szpitala Uniwersyteckiego, którzy przyjeżdżając na leczenie chemioterapią – nie muszą być hospitalizowani.

**RPM**